

Zdecydowałem się napisać te krotka 'historie' naszej rodziny z dwu powodów. Pierwszy, dlatego, że z listów jakie od Was otrzymywałem i z rozmów odniosłem wrażenie, że nie specjalnie się orientujecie w naszych losach po tym jak się korespondencja z nami urwała po wybuchu wojny niemiecko/radzieckiej a chciałbym byście wieciej o tym wiedzieli. Drugi powodem jest ten, że chciałbym ująć się, usprawiedliwić i przedstawić Was decydująca rolę jaką odegrał Tadzik w losach naszej rodziny, podczas pobytu w Rosji, podczas wojny i po wojnie. Jak byłem w 1969 roku w Polsce, dostałem od Władka Galadzieja ostatnie listy ojca, w których ojciec winił Tadzika za to, że nas wywieziono. Tych listów nie dałem mu do przeczytania uważając, że byłaby to niczym nie uzasadniona dla niego przykrość. Kiedy on się potem o tych latach dowiedział, zapytał mnie o nie. Powiedziałem mu, że jeśli chce to dam mu do przeczytania ale ostrzegłem, że one mu sprawiają ból i przykrość. Na to Tadzik odpowiedział "to może lepiej będzie jak nie przeczytasz - wole pamiętać ojca tak jak go dotychczas pamiętam". Listy te czytali Kazik i Zbyszek i z nimi wiele razy na ten temat mówiliśmy. Wszyscy byliśmy jednego zdania, że ojciec nie miał racji winić Tadzika. Patrząc na to teraz wstecz, wywozka okazała się najlepszym możliwym rozwiązaniem trudnej sytuacji w jakiej się znaleźliśmy. Przecież, rok temu wszyscy jeszcze żyliśmy. W listopadzie minie rok jak Kazik umarł w Turynie. Wszyscy uważaliśmy, że gdybyśmy byli zostali w Polsce, bardzo wątpliwe czy byłibyśmy przeżyli wojnę. Prawda, ojciec stracił nas a my ojca, ale widocznie tak miało być - to była cena jaka trzeba było za to zapłacić. Proszę dać ten list do przeczytania każdemu z rodziny, tak by wszyscy poznali prawdę. Uważam, że jeśli jeszcze żyje, jest moim obowiązkiem zrobić to, co tutaj robie.

Właściwie, tak z reka na sercu można powiedzieć, że dla każdego z nas t.zn. naszej matki, Kazika, Zbyszka i mnie, Tadzik zrobił coś co można określić krotkim zdaniem 'uratował życie'. Gdyby nie Tadzik, tylko ja jeden byłbym się znalazł poza granicami Rosji. Tadzik, wielokrotnie był przygotowany poświęcić swoje życie dla nas.

Pierwszy raz jak nas wywozili. Gdy przyszli po nas, zastali w domu tylko Mamcia i Zbyszka. Zapytali o nas i dostali odpowiedź, że my jesteśmy w mieście w ogonku by rano coś kupić. Wysłali więc Zbyszka żeby nam powiedział, że jeśli nie przyjdziemy, wywozili tylko matkę. A więc, oni mieli tylko matkę w rekach, my wszyscy bracia byliśmy na wolności. Zrobiliśmy naradę co w tej sytuacji uczynić i jak wybrnąć z tego? Tadzik powiedział, "ja jestem najstarszy i moim obowiązkiem jest opiekować się Mamcią - wy zostacie, ja pojedę z matką". Na to Zbyszek się rozplakał i powiedział, że on Mamci nie zostawi, gdzie Mamcia będzie także i on chce tam być. Ja, mając świeżo pamięci bicie jakie mi sprawiono w więzieniu (ciągle dostawałem ataków bólu głowy podczas których wleciało się na łóżko), a przede wszystkim, bojąc się że to się może powtórzyć i że ja mogę zdradzić ojca, przyjąłem zryłkę z ulgą. Przeżyłem to bardzo ciężko dopiero później jak zdawała się być nasza beznadziejność tak bezgraniczna jak bezkresnym był ten etap w srodku którego znaleźliśmy się. Najdłużej Kazik się upierał. Pamiętam, powiedziałem że jedziemy nieznane i będziemy mieli większe szanse przetrwania tego co nas czeka, jeśli będziemy się trzymać razem. To przekonało wszystkich tak, że dosłownie daliśmy się wywieźć. Z tego powodu, enkawudzisci którzy po nas przyszli potraktowali nas przyjaźnie, powiedzieli gdzie jedziemy, żeby zabrać ciepłą odzież, jak najwięcej rzeczy i dali nam dużo czasu do spakowania się tak, że dopiero popołudniu odwieziono nas do transportu na stację Podczamce. To był pierwszy raz kiedy Tadzik, miał ze sobą naręczoną we Lwowie i miał dla kogo zostać, zaofiarował poświęcić dla nas. Powtórzył to wiele razy jeszcze później.

Właściwie, żaden z nas później nie okazał się takim jakim znaleźcie nas z przed wojny. Dopiero jak na rodzicach już nie można było polegać, jak trzeba było myśleć i robić decyzje za siebie, prawdziwe nasze wartości, prawdziwa natura i prawdziwe możliwości, z nas wyzwały. Tadzik, który zdawał się być mniej zdolny od Kazika, raczej miękki i koczliwy, okazał się tak zdolny jak Kazik i przy tym obrotny, sprytny, odważny wspaniały organizator i administrator, który z nas wszystkich potrafił najbardziej realnie i trzeźwo myśleć. W miejscowości gdzie mieszkał i gdzie prowadził dużą firmę, jest bardzo szanowany, na wielu przyjaźniół, ludzie uważają, że dokonał cudu, bo uratował firmę w której pracował z bankructwa. Był wszędzie i zawsze respektowany. Nawet w Kazachstanie na posiołku, bolszewicy odnosili się do niego z respektem i on zawsze potrafił sobie jakoś ich zjednać. Z Kazikiem, który był tutaj silną rezy, często o tym mówiliśmy, że Tadzik potrafił się obracać wśród ludzi i w towarzystwie. Wiele razy nie było co jeść, on potrafił gdzieś, w jakiś sposób dostać trochę chleba, którym się zawsze dzielił. Był absolutnie i totalnie oddany rodzinie. Za rodzinę byłby się dał poświęcić.

Trudno byłoby wszystko tu opisać co Tadzik zrobił dla nas na posiołku, ale był jeden incydent którego nie mogą pominąć i muszę tu wspomnieć. Gdzieś w srodku zimy, Woroncownka (tak się nazywała wieś gdzie mieszkaliśmy) została dosłownie zasypana śniegiem i odcięta od stacji kolejowej, która nazywała się Zangistobe. Dostawy zupełnie przestały dochodzić. Chleba już dawno nie było, bo nie mieli czym palić w piekarni. Dawano mąką, ale i ta bez dostaw wkrótce się skończyła. Żyliśmy jęczmień, niej, który Zbyszek kradł w ziarnostadzie i cnochłą cienkiej zupy na jednego, która można było kupić w stołowie. Nastąpiły ciężkie czasy, bo i głód i niedza. Wezy nas gryzły w dzień i w nocy a okropne pluskwy w nocy. Robiło się co tylko można było ale to tylko redukowało ilość tego robactwa, bo o zupełnym wyzbyciu się tego nie był mowy. Życie stało się jednym wielkim i przeciągłym cierpieniem. Matka płakała a nasze serca płakały razem z nią. Mówiła, że już nie może aluchac jak my zryżany się po nocach, rzucamy się na łóżko i stękamy. Serce ją boleło, bo to przecież matka a my jej dzieci. Ale pewnego dnia, w tym czarnym okresie, dostaliśmy wiadomość że przyszła do nas 50cio kilogramowa paczka i jest do odebrania w Georgiewce (nasze miasteczko rejonowe), które było jeszcze dalej niż stacja a do stacji było ponad 50 kilometrów. Podróżować w tym czasie w stepie, było bardzo ryzykowne. Wiadły t.zw. burany śniegiem tak gestym, że na metr nie było nic widac. Świat był jałdny w mleku. Zaczynały się te burany jak orkiestra nagle i odrazu i po kilku minutach nagle i odrazu się kończyły. Po tym ludzie z posiołka szli szukać tych co nie wrócili do domu. Znajdowało się ich zamarzniętych w stepie po tej stronie wai, w którym kierunku wiał buran. W takiej sytuacji, z tak wielkim ryzykiem i narazieniem własnego życia, Tadzik powiedział, "ja jestem najstarszy - moim obowiązkiem jest ratować rodzinę - ja pojedę". Postarał się o wóz i o woły i pojedzał po paczkę. Powiedział mu tantejki ludzie, że gdyby go złapał w stepie buran to żeby się tylko ciepło okrył i zotawił byki w spokoju, że one same instynktownie znajdą drogę. Wielę dni nie wracał. Martwiliśmy się nim, matka płakała, aż po jakimś czasie Tadzik się zjawił z dużą paczką. Byliśmy szczęśliwi ciesząc się, że on nie zamarł w drodze no i oczywiście zawartością paczki w której była alosina, kasza, mąka, które były dla nas złotem i oznaczały ratunek. Misstety, dla mnie paczka przyszła już zapóźno. Dostałem choroby Beri-Beri i nawet ten tłuszcz jaki teraz mieliny ani też lepsze jeniecnie nie uchroniło mnie od szpitala. Dopiero jak aniegi stajały i można było łatwiej dostać się do stacji, pojedziałem do szpitala w Georgiewce, gdzie byłem ponad miesiąc. Leczone mnie surowymi kartoflami i kwaszoną kapuata, ale tej wkrótce zabrakło. Jednak, po czasie, noga odżyła i mogłem chodzić. Tak więc, Tadzik znówu był przyczyną na wszystkim by tylko ratować rodzinę. Niepodobna jest opisać wszystko. C tym można napisać całą książkę a ja, z oczywistych powodów, muszę się ograniczyć do ważniejszych faktów. Wkrótce wybuchła rosyjsko/niemiecka wojna, która stworzyła dla nas inne możliwości i ostatecznie dała wolność, która znaleźliśmy w Peracji, ale nie przyszło to łatwo. Ile razy jestem z Tadzikiem, zawsze o tym mówimy i on zawsze powtarza, że do dziś nie może zrozumieć jak on potrafił Mamcia, Kazika i Zbyszka wywieźć z tego nieludzkiego kraju. Nawet nie wiem jak to opisać. To jest taka długa i zawiślana historia, ale postaram się ile i jak tylko można. Pod jesień 1941 roku udzielono nam amnestii. Przyjechali na posiołek enkawudzisci i dali nam t.zw. 'Udostowierzenia', które upowazniały nas do wyjazdu gdzie chcieliśmy za wyjątkiem miast, jak oni określali, pierwszej i drugiej kategorii (większych i ważniejszych miast). My zdecydowaliśmy się pojedac na południe do miasta, które się nazywało Dzambuł i było na linii kolejowej między Alma-Ata a Taszkentem. We wszystkim co nastąpiło, Tadzik odgrywał decydującą rolę. Uważaliśmy go za ojca rodziny. Rubli mieliśmy dużo, bo czterech nas pracowało a na posiołku niczego nie można było kupić. Trzeba było krasć żeby żyć. Po amnestii powstał problem jak się dostać do stacji Zangistobe a potem do pociągu? Postawiliśmy spakować wszystko i spać na pakunkach czekając okazji. Tak spędziliśmy wiele dni, aż pewnego dnia pojawiły się 3 wozy ciężarowe, które przysięły jakieś dostawy ze stacji. Tadzik poszedł do jednego z kierowców i obgadał z nim, że on nas zabierze, ale oczywiście za słoną cenę. Dużo to kosztowało, ale to nic nie zostawia biorąc pod uwagę, że mogliśmy wyjechać z tego zniestanidzonego miejsca gdzie tyle nacierpieliśmy się. Ja niemal nogą straciłem, Kazika arcastraciłi eketadziłci ale na nocy amnestii swoich potem. To długa historia, ale będę tu pisał. W godzinę później byliśmy już w drodze do stacji a w nocy już w pociągu który jechał do Taszkentu i zasnęliśmy do Dzambuła. Za kilka dni byliśmy już w Dzambuł, gdzie pierwsze kilka osób spakowało się na stacji a potem znaleźliśmy mieszkanie a jednej Stajanki, której nas pracował na kolsaji, nawiasem mówiąc bardzo przadzi ludzie. Za się nam o wiele lepiej powodziło niż na posiołku. Nasze życie było lepsze, ale to co by się chciało,

ale zawsze coś było na tym & bazarze. Poza tym, pracowaliśmy w t.z.w. 'rozwiedoc' geologicznej z geologami z Alma-Ata, którzy przeprowadzali prace w okolicy. Przez nich dostawaliśmy chleb, cukier i kaszę w ilościach większych niż się nam należało. Moze brakowało nam tłuszczu i miema ale nikt z nas głodny nie był. Poznałem, jak pracowaliśmy z tymi geologami w gorach, jakie 70 - 80 kilometrów od Dżambula, to i miema nie brakło, bo kierownik tej ekspedycji geologicznej miał dubeltówkę i strzelał kuropatwy. Upolował też, w czasie jak tam byliśmy, kilka gorakich koz. Matka i Tadziki którzy byli w Dżambule dostawali także prowiant od tych geologów tak, że oni też nie byli głodni. W tych gorach, odżywilimy się solidnie i kto wie, może ja, ale przede wszystkim Kazik zaudzieczamy temu to, że potrafilimy przeżyć to co nas w najbliższej przyszłości czekało. Już wczesną wiosną 1942 roku, zaczęła się organizować Armia Polska. Oczywiście, od obowiązku wstąpienia do wojska nawet nie myśleliśmy się wykrecać. Zdecydowaliśmy, że my trzej starsi wstąpimy do armii i jak tylko sprawy się ułożą, zabierzemy bliżej siebie matkę i Zbyszka. W okolicy Dżambula były dwa punkty zbrojne. Jeden w Ługowej, kilkadziesiąt kilometrów od Dżambula w kierunku na Alma-Ata, gdzie tworzyła się 10ta dywizja a drugi w Czok-Pak też kilkadziesiąt kilometrów od Dżambula w kierunku na Czinkent. My postanowiliśmy, nawet nie wiem czym się kierując, pojechać na punkt zbrojny w Czok-Pak (co snaczy w języku kirgizkim 'Diabelskie-Wrota'). Rzeczywiście, wiało tam tak strasznie, że trudno było utrzymać się na nogach. Tam przeszliśmy komiary lekarską i wszyscy trzej dostaliśmy przydział do artylerii. Oboz wojskowy był dość daleko od stacji, więc po komiary jakiś czas jeszcze byliśmy na stacji czekając na transport. Na drugi dzień po komiary, przyszedł do mnie Kazik i mówi, że jest chory i prosił żeby go zabrać z powrotem do Dżambula do domu. Powiedziałem mu, że to się równa dezercji, on jednak ze łzami w oczach prosił by go odwieźć do domu i aie nie zapokoić. Był to oczywiście tyfus planisty. Tak więc Tadziki został a ja z Kazikiem zdezerterowaliśmy. Po przyjeździe do Dżambula w nocy Kazik mnie zbudził i mówi że czuje że będzie umierał. Pomyślałem, Boga tyle razem przeżyliśmy i to po to żeby on teraz umarł, gdy jutrzienka wolności zaswitała? Mówię do niego, Kaziku bądź silny wytrzymał do rana a ja coś w dzień dla ciebie zrobię. Rano, Kazikowi temperatura trochę opadła i poczuł się lepiej. Mimo to, poszedłem do szpitala z prośbą by go przyjęli. Lekarka, kierowniczka szpitala, nawet słysząc o tym nie chciała. Mówiła, że nie ma wolnych łóżek, co najprawdopodobniej było prawdą. Ze łzami w oczach prosiłem ją i nic nie pomagało. Wreszcie, pamiętam, siadłem na parapecie okna w jej kancelarii i mówię do niej, ja stąd się nie ruszę aż ty mi powiesz, że brata przyjmiesz do szpitala. Długo tam byłam. Ona mnie nie wyrzucała z biura i oboje nic nie mówiliśmy. Po długim czasie zerwała się do mnie i mówi żebym przywiózł brata, ona go przyjmie. Ci nasi geologowie, z którymi bardzo dobrze zyliszy, dali wóz i konia i Kazik jeszcze tego samego dnia był w szpitalu. Postanowiliśmy zostać w domu i nie wracać do wojska tak długo aż Kazik przejdzie kryzys choroby co następuje zdaje mi się po 14-tu dniach od zarażenia. W domu urządziliśmy że aby uchronić się od tyfusu, bo przecież spalimy razem z Kazikiem i te same wszy nas gryzły, będziemy pić głęboki kieliszek denaturatu rano i wieczorem (porządniego spirytusu nie można było dostać), jako lekarstwo profilaktyczne. I tak matka, Zbyszek i ja chodziliśmy przez wiele dni, cały dzień piany. Żał mi było matki, bo nigdy nie lubiła alkoholu a tu musiała pić, bo trzeba było się jakos ratować. Chodziliśmy do Kazika w szpitalu regularnie. Nie wpuszczano nas do środka, ale można było widzieć go przez okno. Miał przynajmniej łóżko i jako taką opiekę. Pewnego dnia matka wróciła ze szpitala i mówi, że Kazik już przeszedł kryzys i że lekarka mówiła, że się czuje lepiej i wszystko jest na dobrej drodze. W takiej sytuacjii postanowiliśmy zaciągnąć się jak najszybciej do wojska, które wyjeżdżało zagranicę by nie zaprzepścić okazji. Powiedziałem w domu, że wstąpię do wojska tym razem w Ługowej i jak wojsko będzie wyjeżdżać do Persji, ja wezmę matkę i braci do transportu na stacji w Dżambule. Poprosiłem aby Kazika odzyskali jak najszybciej by nabral sił i żeby byli w stanie ciągłej gotowości na szybkie załadowanie się i wyjazd. Nie zdawałem sobie sprawy z dwu faktów, które zaszły w czasie jak Kazik był chory a ja byłem w Dżambule. Pierwszy to ten, że pierwszy rzut wojska i rodzin już odjechał do Persji i że zapadła decyzja, że już więcej nikt nie wyjeżdża. Dopiero później determinacja Andersa i jego silna wina wymusiły na rządzie Sikorskiego w Londynie wznowienie starań o wyjazd drugiego rzutu wojska i rodzin. A drugi fakt to był ten, że nie wiedziałem o tym że Tadziki nie wyjechał pierwszym rzutem ale z Łaski Pana Boga był w ciągu dalszym na terenie Rosji. Z Czok-Pak, po mojej z Kazikiem dezercji, Tadzika wysłali do Kara-Su (Czarna-Woda) w Dolinie Fergaany na wschód od Samarkandy do szkoły podchorążych artylerii. O tym się dowiedziałem dopiero w Pahlawi w Persji gdzie spotkałem Tadzika i matkę. Od nich się też dowiedziałem co się stało z Kazikiem

po moim wyjeździe z Dżambula i że Kazik i Zbyszek też wyjechali a tego przekletego kraju i że są w wojsku w 6tej Lwowskiej Dywizji. Wyjazd ich to wielka Łaska Pana Boga jakiej doznaliśmy i determinacja Tadzika. Ja, po ciężkich początkach w wojsku o których nie będę pisał, bo wszystkiego opisać w liście nie można, zmierzając się w miejscowości Szachriszjabe niedaleko Samarkandy w szkole podchorążych 6tej Dywizji Piechoty. Dostawaliśmy tam bardzo wskóra od tych idiotów naszych dowódców i tam nabrałem wstretu do wojska i do mentalności wojskowej, który już mnie do końca nie opuścił. Człowiek wszystko znosił w nadziei, że w końcu jednak jakos się wyjedzie do Persji i tak się stało. Tymczasem, Kazik po tyfusie nie powrócił do zdrowia szybko. Dostał zapalenia płuc potem ropnego zapalenia płuc i to w czasie kiedy zhlizal się wyjazd drugiego rzutu do Pahlawi. Ja starałem się o przepustkę, żeby pojechać po matkę i braci, ale mi odmówiono. Nigdy im tego nie zapomniałem! Ja i jeszcze kilku innych w szkole znaleźliśmy się w trudnej sytuacji. Nie wiedziałem co robić, czy znówu zdezerterować i wrócić do matki i braci, czy wyjechać z wojskiem i liczyć na to, że soze jakos Bóg da i uda się im wyjechać. W tym czasie, w Dżambule, matka pewnego dnia poszła jak zwykle do szpitala by Kazika zobaczyć i już nie zastała go w łóżku gdzie dotychczas leżał. Poszła do lekarza i pyta co się stało? Lekarz mówi, że wprawdzie on jeszcze nie umarł, ale już długo żyć nie będzie i oni wyniosli go do trupiarni. Powiedział też, że aby Kazikowi pomoc, trzeba mieć Roentgena i środki usypiające, bo operacja jest konieczna a oni ani jednego ani drugiego nie mają. Matka poszła do trupiarni a tam Kazik, żywy, przytomny i o jeszcze zdrowych zmysłach leży wśród trupów a tych było sporo bo ludzie umierali jak muchy przeważnie na tyfus. Był w Dżambule w tym czasie lekarz ze Lwowa, Żyd, nazwiskiem Gruc. Matka poszła do niego i powiedziała jaka jest sytuacja, że Kazik jeszcze żywy a oni go już dali do trupiarni. Dr. Gruc pomógł bardzo się tym zdenerwował i z miejsca poszedł do szpitala. Podobno, okropnie zbawiał głównego lekarza i powiedział że jak oni nie mogą nic dla Kazika zrobić, to on im pokaże co można zrobić. Kazał przynieść Kazika z trupiarni, osłuchał go i punkcjami (strzykawkami) szukał gdzie jest ropa. Za trzecim razem, znalazł ropę pod prawym ramieniem. Należało teraz zrobić operację t.zn. wycięcie zębrow i wpuszczenie drenaży by ropy wyciekła. Przywiązali więc Kazika do stołu, kilku jeszcze trzymało żeby go unieruchomić a doktor Gruc na zywca, bez żadnego znieczulenia to robił. Dzięki Bogu, Kazik przeżył te operacje i jak zaczęła ropa spływać, poczuł się lepiej. Możecie sobie wyobrazić jaki to musiał być wstrząs dla niego. Kazik kiedyś jeszcze we Włoszech powiedział mi, że on już nigdy potem nie czuł się tym samym człowiekiem co był. Możecie sobie wyobrazić co przeżywała nasza matka. Faktycznie, poważne choroby wciąż Kazika prześladowały. Miał dwa razy operacje serca, przechodził operacje usunięcia kamieni żółciowych a potem jeszcze epilepsja, która była rezultatem tego co przyszedł w Dżambule a która, mam wrażenie, ostatecznie go wykończyła rok temu. Ale odszedłem od tematu. Matka wracając raz ze szpitala po wizycie u Kazika, miała widzenie. Opowiadała, że jak weszła na ulicę gdzie mieszkałismy (nazywała się Wygonnaja) zobaczyła, że jakas świetlna kula w powietrzu zaczęła się do niej zbliżać. Zatrzymała się i to światło też stanęło przed nią. Mówiła matka, że dłuższy czas tak stała i patrzyła na to światło. Po jakimś czasie, światło znikło a Mamcia przestraszona wróciła do domu gdzie już czekała na nią pewna pani nazwiskiem Koszowska z którą się matka przyjaźniła. Matka jej to widzenie opowiedziała a pani Koszowska na to mówi "proszę pania, to był znak od Pana Boga - zobaczy pani, że wszystko się dobrze skończy". Rzeczywiście, na drugi dzień przyjechał Tadziki z synem pani Koszowskiej, żeby ich zabrać do Kara-Su a potem do Persji. W domu został, oczywiście, sytuacja tragiczna, bo Kazik w szpitalu, wychodzony, z wypuszczonymi drenażami z których ropa jeszcze wyciekala. Widząc tę sytuację Tadziki powiedział "Mamciu, jak mi ale nie uda was wywieźć do Persji, ja nigdzie nie jęde, ja zostaje z wami! Znowu, jak widziacie, był przygotowany poświęcić własne dośrodk dla rodziny. Zabrał Kazika, jeszcze zupełnie bez sił i wycieńczonego, spakowali tylko najważniejsze rzeczy i poszli na stację. Oczywiście Tadziki i Zbyszek musieli Kazika zabrać. Na stacji, bałagan, poręgi spełnione ale jakas cudem z Łaski Pana Boga udało się im wejść do pociągu. Tu nie ma miejsca na to by opisać jak bał tego dokonywało to można określić tylko jako Łaska Boga, który dał Tadzikowi sił i determinacji, który wysłuchał modlitwy matki co pozwoliło czegoś takiego dokonać. W pociągu miał kłopoty z Kazikiem, bo to przecież chory człowiek z którego ropa jeszcze wyciekala. Jak okazaliśmy się czepiali że wiezie chorego, mówili że on ma rozkaz z dowództwa, żeby tego chorego oficera przywieźć do Kara-Su. I tak, matka, Kazik i Zbyszek, także pani Koszowska i jej siostra znalazli się w Kara-Su przy szkole podchorążych artylerii i a ta szkoła wyjechała przez Krasnowodsk, morse Kaspijskie do Pahlawi w Persji. Wieracie mi, ludzie którzy ładawali